

STANISŁAW TOMKOWICZ

NIECO
O ZABYTKACH KRAKOWSKICH

ICH MIŁOŚNIKACH
I ICH NISZCZYCIELACH.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1887.



STANISŁAW TOMKOWICZ.

NIECO O ZABYTKACH KRAKOWSKICH

ICH MIŁOŚNIKACH
I ICH NISZCZYCIELACH.



W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1887.

Wydano z dubletów
Biblioteki Górnickiej PAN

SL 192
SL 1h 1

417823

J



W 77/9 108
5.9. 10, -



Osobne odbicie z „Czasu“ Nr. 29 z dnia 6 lutego 1887 r.
Nakładem Redakcyi.

Było to w r. 1850. Niewiele tygodni minęło od strasznego pożaru, który prawie pół Krakowa w perzynę obrócił. Miasto przerażający przedstawiało widok; zrujnowani i wystraszeni mieszkańcy jeszcze nie mieli czasu ochłonąć po klęsce, która ich dotknęła. Całe szeregi kamienic świeciły pustką. Na ulicach i placach ponura panowała cisza i brak wszelkiego życia uderzał rzadkiego przechodnia; Idąc ulicami Wiślną, Gołębią, Bracką, Szeroką, Grodzką i Stolarską, gdy rzuciłeś w górę okiem, przez wypalone okna, suity i dachy widziałeś niebo, swym spokojnym błękitem dziwnie odbijające od przeraźliwie poszarpanych konturów zgliszcz i ruin. Z świetnych niedawno rezydencji, jak pałac biskupów krakowskich i siedziba możnego rodu Wielopolskich sterczały tylko kominy i szkarpy okopcone i popękane. Widok zamienionych w perzynę dwóch z najpiękniejszych kościołów krakowskich, smutkiem napelniał serca pobożnych i miłośników dzieł sztuki, a ludzie wyższego polotu umysłu, razem z X. biskupem Łętowskim, przejęci niepewnością zadawali sobie pytanie, czy to koniec Krakowa, czy też początek od-

rodzenia, które przebudzi społeczność z letargu i zwątpienia, a jeżeli da Pan Bóg i na cały kraj zbawiennie może wpłynąć. W całej atmosferze duchowej dawało się czuć potężnie wstrząśnienie.

Uczeni i archeolodzy ze łzą w oku krążyli koło ruin zwłaszcza Dominikańskiego kościoła, którego zniszczenie najdotkliwszą było dla serc polskich stratą. Straszny to istotnie był widok. Wypaliły się były dachy, sterczały tylko w górę szczyty zębate facyat, ale osłabione i chwiejące groziły lada chwilę upadkiem. Sklepienie naw głównych, jakkolwiek uszkodzone, zdawało się być uratowaniem. — Odważniejsi ośmielali się zaglądać i wstępować do wnętrza kościoła, aby zdać sobie sprawę z doniosłości katastrofy i policzyć, co się ze skarbów niedawno tak bogatego kościoła ostało.

Właśnie było południe. Skwar sierpniowego słońca dopiekał. Wszystko było się rozeszło na obiad. Dwóch tylko ludzi pozostało w kościele. Młodzi i pełni zapału zamknęli się w kaplicy po lewej stronie kościoła przy schodach, prowadzących na górę do św. Jacka. Schyleni ku ziemi, przy samem do niej wejściu, zajęci byli pomnikiem, wprawionym w posadzkę, a pierwszy raz odkrytym, gdy pożar zniszczył ławki, które go dotychczas oczom ludzkim zasłaniały. Jeden z nich przenosił na papier ciekawe rysy wyrytego na płycie kamiennej rycerza średniowiecznego, zakutego w zbroję, z rękoma pobożnie złożonemi i herbem Grzymała u stóp — drugi mozolił się nad odcyfrowaniem zartartych gotyckich liter napisu okalającego płytę,

a który mówił, że pochowany tu Jan Kobyleński, zmarły w r. 1471.

Wtem huk i łomot straszny ogłuszył naszych pracowników. Zdawało się, że ziemia zadrżała w posadach. Chmura kurzu i wapna zasypała im oczy. Przez chwilę nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Gdy minął pierwszy przestrah, a zasłona pyłu nieco opadła, zrozumieli niebezpieczeństwo, któremu dziwnem uszli szczęściem. Oto tuż koło nich zapadło się całe prawie sklepienie kościoła. Potężne filary, jak kije spaczone powyginały się w różne strony, najsilniejsze klamry popeękały; co chwilę jeszcze obrywał się jakiś kawał muru lub głaz i z wysoka spadał z łoskotem. Nad nimi sklepienie kaplicy ocalało, ale olbrzymia kupa gruzów zatamowała przystęp do niej, tak, że dopiero po długich usiłowaniach zdołali się na świat wydobyć, witani z wzruszeniem przez śmiertelnie strwożonych krewnych i publiczność, co się była zbiegła dokoła ruiny na wiadomość o strasznem nieszczęściu.

Któż to byli owi dwaj pracownicy? Jeden z nich, wyjechawszy niebawem za granicę, oddał się dziennikarstwu i studyom historycznym, a potem obrał stan duchowny, żeby dać się poznać jako autor „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta“ i „Sejmu Czteroletniego“, oraz jako gorliwy apostoł unii i wychowawca Słowian. Drugi cichszemi drogami przez Opatrzność prowadzony, przez długie lata uczył całe pokolenia rysunku, będąc nauczycielem szkoły wydziałowej św. Barbary i prywatnie dając lekcye, a obok tego dalej prowadził pracę rozpoczętą

przed pożarem jeszcze Krakowa: rysował jeden po drugim pomniki nagrobkowe kościołów krakowskich. Z kolejną lat przeszedł w ten sposób Dominikanów, Franciszkanów, św. Katarzynę, Boże Ciało, św. Annę, i to tak systematycznie, że niema w tych kościołach z ich krużgankami klasztorami jednego pomnika z przeszłości, któryby był pominął. Prócz tego zebrał wszystkie nagrobki z zewnątrz kościoła św. Barbary, wielką liczbę z innych kościołów miasta naszego, jak równie z kościołów w Krakowskiem i w dalszych stronach. Ze starożytnego klasztoru w Mogile zgromadził wszystkie nagrobki gotyckie, z Giebułtowa wszystkie z XVI wieku, prócz tego komplet pomników z pięknego gotyckiego przybytku bożego w Końskich, komplet spiżowych pomników krakowskich i t. d. Obecnie zebrawszy przeważną część nagrobków kościoła Maryackiego, zabrał się do ukoronowania dzieła swego przez dokonanie zdjęć z pomników królewskich na Wawelu. Praca to męcząca i żmudna, pomniki bowiem, po większej części w kształcie sarkofagów i z baldachimami zbudowane, wielkością wymiarów i wielostronnością powierzchni swych ogromne przedstawiają pole studyów; niektóre z nich, jak np. Kaźmierza Jagiellończyka mauzoleum, cały świat pomysłów, motywów i ornamentów na każdej swej mieszczą cząsteczce. Właśnie nad nim pracuje artysta w tej chwili, ukończywszy świeżo Stefana Batorego wspinały monument, a mając już w tece z dawniejszych lat Władysława Łokietka i Jagiełłę.

A zadania swego nie ułatwia on sobie. Z natury obdarzony niesłychaną, drobiazgową prawie sumiennością, nie tylko wszystko mierzy najdokładniej, nie tylko zdejmuje rzecz ze wszystkich stron i uwzględnia mniej nawet ważne szczegóły, ale z każdego ornamentu robi przygotowawcze studia wielkości oryginału, a potem dopiero redukuje i składa w całość. Zdjęcia więc jego, robione nie w przybliżeniu i na domysł, jak się zwykle robi, ale podług skali i z wiernością niewolniczą, może nieraz odznaczają się pewną nieśmiałością, będącą cechą nieposobienia artysty, niezawsze oddają wrażenie całości pomnika, co wiele mistrzowie ołówka kilku śmiałymi rysami umieją wydobyć, ale za to dają rękojmię, że szablonowej często fantazyi rysownika nie podano nam zamiast przedmiotowej prawdy, że nie jesteśmy zmuszeni patrzeć na nie oczami, czasem roztargnionemi, drugiego człowieka; tylko mamy przed sobą suchy nieco i zimny, lecz prawdziwy, niejako matematyczny kształt rzeczywistości, a to tem bardziej, iż rysownik, zajmując się przez tyle lat tym przedmiotem, umiał przejąć się poczuciem formy i stylów. Słowem, rysunki te mają się do pomników, jak dobre zdjęcie architektoniczne do budynków.

Wszakże spostrzegam nieco późno, że jak rysownik, o którym mowa, odtwarzając pomniki zapominał zupełnie o swoim ja, tak i ja mówiąc już długo o jego dziełach, nie nazwałem ich autora. Jest nim p. Maksymilian Cercha.

Przez 40 blisko lat idąc po raz obranej drodze, zgromadził przeszło 400 rysunków, nielicząc nie dających się zliczyć studyów i przygotowań. Zbiór to istotnie ogromny, kilka tysięcy zlr. wart. — Przez całe życie nie z niego nie ciągnąc korzyści, dziś starzec rześki jeszcze i pełen zapału do pracy, widzi, że zawód jego ma się ku schyłkowi. Kto przeżył lat 70 i kilka, a w nich około 60 poświęcił ciężkiej niezmordowanej pracy, dla tego nadchodzi pora wytchnienia i obejrzenia się za jej owocami.

Pan Cercha pragnąłby dzieło całego swego żywota spieniężyć, ale chce je widzieć umieszczonem w dobrych rękach i w całości. Istotnie, rozerwane straciłoby wiele ze swej ważności. O prywatnych mecenasów w dzisiejszych czasach nie łatwo. Zbiór taki godzien być pomieszczonym w publicznem jakimś muzeum, gdzieby i zabezpieczonym był dobrze, i z niego każdy korzystać mógł.

Nie byłoby może od rzeczy, gdyby pomyślano o pozyskaniu go dla Muzeum Narodowego w Krakowie; sposób nabycia go podobno znalazłby się pomimo szczupłej dotacyi tego zakładu, zwłaszcza gdyby artysta przystał na rozłożenie ceny na raty. Najodpowiedniejsze zaś chyba miejsce dlań tam, gdzie postanowiono zbierać materiały, które złożyć się mają kiedyś na obraz dziejów sztuki polskiej. Reprodukcyje pomaików rzeźbionych nie są zapewne tak dobrem tu źródłem, jak oryginały same, ale, o ile wierne, ułatwiają niezmiernie badanie i porównawczą pracę.

Mógłby ktoś zarzucić, że to samo albo więcej jeszcze spełnić może fotografia. Zapewne, tylko że nie każdy fotograf jest zarazem artystą wiedzającym o co głównie przy dziełach sztuki chodzi, i nie każdy pomnik da się z wszystkich stron fotografować dobrze. Jeden stoi w miejscu za ciasnem, drugi w cieniu lub złem świetle, do trzeciego dostąpić nie można z przyrządem, inny wreszcie za wielki, aby się linie jego nie pokrzywiły, a proporce nie zmieniły. Zresztą takiego zbioru fotografii niema, a sporządzanie go zabrałoby dużo czasu, nie lata, ale dziesiątki lat, i nie mało też-by kosztowało, a zbiór p. Cerchy jest — to samo już wielką jego zasługą.

Wartość jego i ważność podnosi jeszcze jeden wzgląd.

Oto wiele on obejmuje pomników najcenniejszych, które niegdyś istniały, niedawno jeszcze były — dziś ich niema, i śladu nawet po nichby nie zostało, gdyby nie rysunki wspomniane.

Bo w czasach naszych dużo pamiątek ginie, niknie z powierzchni ziemi; niknie w samym Krakowie, w oczach prawie naszych. Już nieraz mieliśmy sposobność występować w ich obronę, niestety bardzo rzadko skutecznie. Dziś chcemy pomówić o kościele księży Dominikanów.

Starożytny kościół św. Trójcy, pierwotna miejska fara, a później siedziba gorliwego zakonu kamedulskiego, od dawien dawna cieszył się czcią i miłością mieszkańców Krakowa. Tu obywatele słuchali mszy św. i kazań, tu przychodzili oblegać

konfesyonały, tu chętnie dawali ofiary na nabożeństwa, tu zapisywali się gromadnie do bractwa różańcowego, tu w świątecznych sukniach brali udział w procesjach i uroczystościach, tu wreszcie kazali chować swoje zwłoki i nagrobki stawiali najchętniej. Przed 36 laty pożoga zniweczyła ołtarze i obrazy, i sławne stalle i wiele w nim przedmiotów, a mimo to, co się uratowało, jeszcze świadczyło wymownie o jego przeszłej świetności. Została kaplica Różańcowa, zostały piękne kaplice św. Jacka, Lubomirskich, Zbaraskich, Myszkowskich i parę innych, a w nich mnogie, śliczne i historycznej wartości pomniki. Ocalało też w kościele samym nieco nagrobków, a między nimi sarkofag świątobliwego i wielkiego biskupa Iwona Odrowąża. Stał on pośrodku prezbiterium, a wkrótce po pożarze ramą dębową z zarządzenia konserwatora p. Pawła Popiela silnie ujęty, stać mógł jeszcze długo, gdyby go nie ruszono z miejsca. Trzy jego ściany okrywała płaskorzeźba z czarnego marmuru, z przedstawieniem zdjętych temu półtrzecia przeszło wieku widoków trzech fundacyj Iwona: klasztoru w Mogile, tudzież kościołów N. P. Maryi i św. Trójcy w Krakowie.

Te pomniki pożar uszanował, — nie uszanowali ich ludzie. Ostały się one po klęsce r. 1850, stały jeszcze długo, widywaliśmy je w dzieciństwie, czytaliśmy ich napisy w latach studenckich, napawaliśmy oczy ich pięknościami jeszcze jakiś czas później, aż nareszcie znikły — kiedy i jak nie wiedzieć dobrze. Wśród tak wielkiej ich li-

ezby trudno ciąglą utrzymać kontrolę. Dzięki zachowanym rysunkom i położonym na nich datom kiedy były robione, zestawiliśmy sobie cały szereg takich pomników, które były w r. 1860, a dziś ich niema, które były jeszcze 1869 r., a dziś ślad po nich w kościele nie pozostał. Są w tym okazałym poczcie i znakomite imiona i znakomite dzieła sztuki z XV, XVI i XVII wieku, są i do brodzieje zakonu, jak np. Jan Narębski, który 1633 r. umierając, kilka wsi klasztorowi darował.

Ale już chyba najpierwsze wpośród nich miejsce trzymał wspomniony wyżej pomnik Iwona, Odrowąża. Jeżeli czyjej, to pamięci błogosławionej tego świątobliwego księcia Kościoła i fundatora klasztoru krakowskiego należało się poszanowanie. Tymczasem szczątki nawet jego sarkofagu, wprawdzie od gorąca popękanego i uszkodzonego, niedalej jak kilkanaście dopiero lat temu za przeorstwa X. Petkego naprzód przeniesione, a potem, jak się zdaje, na cztery wiatry rozproszone zostały. Dlaczego? Skoro stał on jednak ze 20 jeszcze lat po pożarze, na to trudna odpowiedź. Zawarte tylko w nim kości, wyjęte nieco dawniej i zebrane w skrzyneczkę, złożono w skarbcu, gdzie do dziś dnia pozostają. Podobno przed kilku laty Zgromadzenie krakowskie czyniło w Rzymie starania o jego beatyfikację, chcąc trumienkę ze zwłokami umieścić w ołtarzu wielkim. Co się stało, nie wiadomo, dość że w wielkim ołtarzu pod mensą jest dziś rodzaj sarkofagu i wykuta na nim w białym marmurze leży postać....

św. Emygdiusa, który może być wielkim w obliczu Boga, ale którego zupełnie nieznane u nas imię, chyba zbyt silnie do pobożności ludu polskiego nie przemawia.

Tymczasem dla tak powszechnie w Polsce czczonej postaci biskupa Iwona brakło w kościele całym przezeń fundowanym miejsca, niema nawet miejsca na tabliczkę pamiątkową.....

Kiedy już mowa o wielkim ołtarzu, to musimy trochę dłużej przy nim się zatrzymać. Wybudowano go przed kilku laty z wielkim sumptem, a jeszcze większym hałasem. Posypały się dytyramby na cześć jego i jego twórców — nawet do *Czasu* podobno dostał się artykuł pochwalny jakiegoś tajemniczego pochodzenia. Robiło to wrażenie, jak gdyby chciano krzykiem zagłuszyć krytykę umiejętną i fachową. Zresztą w pierwszej chwili niedziw, że każdemu miło było widzieć nareszcie wzniesiony wielki ołtarz w kościele przez tyle lat opustoszałym. Uczucie pobożności i godziwej dumy z dokończenia dzieła było tu zupełnie wytłumaczonem, a przeświadczenie o istotnej i niezaprzeczalnej zasłudze zakonowi, który zapobiegliwością swą pełną zapalną zdołał zebrać jakie kilkadziesiąt tysięcy na to potrzebnych, nakazywało milczenie wszelkim innym uwagom. — Ale dziś, kiedy już możemy rzecz ocenić na zimno, proszę tylko, aby kto powiedział, w jakim stylu jest ów olbrzymi gmach, który podobało się twórcom nazwać ołtarzem? Za ścisłą odpowiedź możnaby nagrodę naznaczyć. W stylu gotyckim

przecież nie. Gotycyzm przecież nie zna ołtarzy w kształcie wieży, czy piramidy, zna tylko ołtarze szafiaste, lub konfesye i mensy z relikwiarzami świętych w kształcie trumny do góry wzniesionej. Gotycyzm nie zna ołtarzy białych ze złotem i różnemi kolorami, nie zna motywów ornamentacyi, jakimi okryto malowane tła i podniebia. A jednak sądząc z tych zewsząd wyskakujących iglic i kwiatonów, zdaje się, że ma to do gotycyzmu pretensye.

Ale zresztą niechby był styl, jaki chciał, byle rzecz była piękna i sensowna. O pięknie wolno sądzić każdemu, ale wątpię, aby ktokolwiek w tej budowie dopatrywał się logiki. W prezbiteryum płaską ścianą zakończonem ołtarz pod nią stojący, powinien być płaski, albo jeszcze lepiej wklęsły; ten, wypchnięty ku przodowi, zdaje się pękać, jak człowiek zbyt otyły i odpychać każdego, kto doń się zbliża. Ołtarz wielki, z istoty swego przeznaczenia, ma prawo być okazałym, ale zawsze powinien być akcesoryum w porównaniu do całego kościoła; ten nadyma się i chce ważniejszą rolę odegrać od samego budynku. Ołtarz — zdrowy rozsądek to wskazuje — powinien być mniejszy od przestrzeni, w której stoi, jak każda rzecz objęta mniejszą być musi od obejmującej. Ołtarz dominikański jest większy od kościoła, górą wystrella, a raczej pnie się wyżej, niż sklepienie, nciska je, jak gdyby chciał przebić je i wysadzić, bokami rozpycha i rozsadza ściany prezbiteryum, ciasno mu i niewygodnie, aż przykro patrzeć. —

Aby go pomieścić, musiano znieść tak piękne stopnie podwyższenia, na którym dawny stał ołtarz. Całość wciśnięta przez to w ziemię, pozbawiona jest niezbędnej podstawy. Aby się jako tako wydała, trzebaby właściwie inny dla niego wystawić kościół. O materyale użytym, o dziwnej mieszaninie marmuru, piaskowca, alabastru, stiuku i drzewa najniesmaczniej marmoryzowanego, o przeraźliwej polichromii, już wolę nie mówić.

I aby ten nadęty kolos tak wątpliwego smaku, postawić, wydano moc pieniędzy, a poświęcono piękną starą kryptę, której sklepienie nie byłoby zniosło ciężaru. Kiedy już miała koniecznie nie istnieć, to bodaj czy nie lepiej, żeby się była zawaliła po wystawieniu ołtarza.

Nie poprzestano na tem. Autorowie tego arcydzieła, zachęceni powodzeniem, postanowili cały kościół podobnemi ołtarzami przyozdobić. Już w kilku kaplicach piętrzą się wesoło i cisną jedne przez drugie pinakle i żabki białe, zielone, czerwone, złote i tworzą galimatyas pstrokacizny i niekonsekwencyj rysunkowych: rozkosz dla oka dzieci i gawiedzi.

A nad temi kwiatami rzeźby rozciągnięto pomiędzy gotyckimi i poważnemi żebrami sklepień kaplicznych blade błękit kaszmirów indyjskich, na których bujają w lekkich splotach polne kwiatki, maki i powoje z przedziwnym naturalizmem dekoratorskiego pędzla namalowane.

Zapewne to musi być piękne; ale my barbarzyńcy północy znajdujemy to poprostu szpetnem

i wstrętnem. Niedziw zresztą, że się poznać nie umiemy. Produkt to nie rodzimy, ale dalekiego południa, importowany z ojczyzny Rafaelów i Ty-cyanów. Ludziom wyżej od nas w cywilizacji po-suniętym wiadomem będzie, że Włochy są też oj-czyzną jedynego gotycyzmu prawdziwego i czy-stego, który w żadnym innym kraju tak dobrze pojętym nie został, a którego wykwit podziwiać można w katedrze Medyolańskiej. Sekret jego pó-źniej w świecie zatracony, przechowuje się w słabym wprowadzie odbłasku tylko jeszcze w niektó-rych rodach cukierników, które, jak wiadomo, z północnej Lombardyi i włoskich kantonów Szwaj-caryi, rozeszły się po Europie i włoskie zazwy-czaj mają nazwiska. Z cukierni zaś prosto dostał się do naszego kościoła Dominikańskiego.

Ale nie żartujmy, bo rzecz zbyt jest poważną, a nawet bolesną. Znamy bardzo wykształconych i prawdziwie biegłych znawców, którzy uspokoić się nie mogą nad tem, co się od jakiegoś czasu z tym kościołem dzieje. Jeden z nich, będący w mieście naszym powagą rozumu, wieku i do-brego smaku, ze łzami w oczach mi mówił: przez całą młodość moją chodziłem modlić się do ko-ścioła św. Trójcy, tam się spowiadałem, tam przy-stępowałem do pierwszej komunii św. i pokocha-łem prawdziwie ten piękny kościół, z którym łą-czą się najpiękniejsze moje wspomnienia; dziś gdy idę ulicą Grodzką, odwracam się w przeciwną stronę, aby nie patrzeć na to, co z tym ko-ściołem zrobili.

Niestety bowiem akcja szpecenia nie zatrzymała się na wnętrzu kościoła. Przed kilku laty zaczęto stosować ją i do zewnętrznych części, dobudowując ową kruchtę, co wygląda, jakby jeden ze szczytów katedry kolońskiej, w karykaturze, zdjęty z wysokości i na ziemi posadzony.

Lecz grozi budowli jeszcze większe niebezpieczeństwo. Oto amator budowniczy, zamilowany w gotycyzmie osobliwszego rodzaju, zamierzył przypieczętować dzieło, przekształcając po swojemu całą fasadę kościoła. Projekt jego, który właśnie oglądałem, jest istotnie zdumiewającym. Fasadą istniejącą, piękna w swej prostocie, została tam z dziwnem bogactwem pomysłu poliniowana od góry do dołu w wąskich odstępach laskowaniem zapewne kamiennem i urozmaiconą wnękami, maswerkami, gżemsami, galeryami, łukami, pinaklami, umieszczanemi na chybił trafił, najczęściej tam, gdzie ich najmniej potrzeba. Do takiej dopiero fasady dodano po dwu bokach naw niższych dwie jednakowe olbrzymie wieże, przystrojone w niższych piętrach ogromnemi płaskorzeźbionemi obrazami, a zakończone również kolosalnemi latarniami, na ośmiu cienkich słupkach wspartemi. Cała konstrukcja tej części, jakkolwiek zapewne w kamieniu projektowana, robi wrażenie żelaznej i nieco przypomina *la tour Eiffel*, ów zapowiedziany na Wystawę paryską 1889 r. ósmy cud techniki i złego smaku dziewiętnastego wieku. Zastanawiałyby one kaplice Lubomirskich i Zbarskich, tak piękne, wszelako rażące oko autora

planu, który obok gotycyzmu własnego wynalazku, widocznie żadnemu innemu stylowi przepuścić nie może, i stałyby organicznie z kościołem nie połączone po dwóch jego bokach opodal, jak dwa sztyldwachy. Dla zastrojenia zaś z niemi całości, podniesioną i powiększoną też zostałaby sygnaturka, czyli t. zw. *dachreiter* na środku, tak, aby jeszcze nieco wyżej od wież bocznych strzelała. Bardzo trudno słowami opisać to arcydzieło. W ten sposób urządzona, rozszerzona, pocięta na trzy części facyata, wygląda podobna do jakiegoś przedmiotu pośredniego pomiędzy niezgrabnemi organami, a szopką kartonową, w rodzaju tych, z któremi chłopaki w zimie wieczorami stoją na linii A—B w Krakowie. Trzeba przyznać, że motyw jest przynajmniej rodzimy, czysto miejscowy.

I na to, aby taką zbudować szopkę, mianoby poświęcić poważną, spokojną i poetyczną fasadę kościoła, z którą zrosły się pokolenia i która od wieków tak poważną widokom Krakowa nadaje cechę! Nie wiemy, czy ta fantazja już jest ostatnim i stanowczym projektem, ale na samą myśl że coś podobnego mogłoby stać się kiedyś rzeczywistością, aż niedobrze się robi. Jedyna nadzieja, że pominawszy stronę finansową, autor projektu jeszcze z technicznemi trudnościami budowy wido- cznie nie umie jakoś dać sobie rady: takie wieże, jakie zaprojektował, zawaliłyby się, zanimby je skończono.

A byłby to zbytek nie do darowania wydawać pieniądze na zeszpecenie kościoła, kiedy tyle jest

pięknych rzeczy do ratowania i naprawiania wewnątrz, o ile ich dotąd nie usunięto. Dość przejść po krużgankach klasztornych, aby się przekonać, ile jeszcze jest do zrobienia.

Krużganki te, jedne z najbardziej malowniczych w Polsce, są istnem *Campo santo* Krakowa z XVI wieku. Jestto istna ilustrowana karta dziejów złotej epoki naszej, archiwum, w którem tylko trzeba umieć czytać, aby się zamieniło w galerię znakomitości naszych. W zwartym szeregu biegną dokoła nagrobki, pełne młodocianego wdzięku wczesnego renesansu, lub wykwintnego bogactwa epoki późniejszej, jeden piękniejszy od drugiego. Wiele z nich, zdobnych w pełne charakteru portrety nieboszczyków, mówiących zda się do ciebie, mistrzowskiem nieraz dłutem wykute. A po pod niemi wypisane słowami portrety mówią także głosem i duchem swego czasu, tak nęcającego prawdziwie wykształcone umysły, a często poezyi i dramatyczności pełnym.

Tu imiona uczonego humanisty Novicampiana czyli Nowopolskiego, słynnego drukarza Andrzeja Piotrkowczyka, zasłużonych profesorów Gabryela z Szadka zwanego Eutropiusem i Benedykta z Koźmina, przenoszą cię odrazu w tę *societas literaria*, która Uniwersytet nasz Jagielloński nową opromieniła sławą i Kraków uczyniła jednym z ognisk ruchu naukowego, życia europejskiego, handlu księgarskiego; lubo przywodzi zarazem na pamięć i rozterki religijne, walki i intrygi nowinkarzy, które tak zasępiły rozkoszny horyzont wieku odro-

dzenia; wszak podczas gdy Benedykt z Koźmina mężnie i z gorliwością apostoła bronił zasad prawowiernego Kościoła i młodzież od wpływów hereetyków zasłaniał; Andrzejowi Piotrkowczykowi za drukowanie i rozszerzanie paszkwilów na duchowieństwo katolickie musiano aż publicznie na rynku krakowskim pod pręgierzem chłostę wymierzyć. Tam epitaphium Sebastjana Lombardiego florencezyka i Guicciardiniego, nasuwa wspomnienie owego zastępu włoskich uczonych i artystów, którzy kupiąc się około dworu królewskiego, panowaniu ostatnich potomków Jagielly i stolicy Polski tyle przyczynili świetności. Oni nas obdarzyli zamkiem królewskim, kaplicą Zygmuntowską, pałacem na Woli, ratuszem poznańskim; — a dzisiaj ich następcom zawdzięczamy tylko — pożałuj Boże — kaplicę Wąsowiczów na Zamku i ołtarze dominikańskie! Dalej trochę nazwisko pana Bojanowskiego wywołuje obrazy z „Dworzanina“ Łukasza Górnickiego, tej najpiękniejszej książki polskiej z XVI wieku, a jednej z najpiękniejszych całej naszej literatury. Smutny tego wykwintnego dworzanina napis grobowy objaśnia nas klasyczną łaciną, że „niechcąc poprzestać na spuściznie ojczystej — uległ ponętom życia dworskiego i umarł zanim naprawdę żyć się nauczył.“¹⁾ W innem miejscu żałośny mąż Małgo-

¹⁾ *Patriis bonis contentus esse nolens, aul moba ejus promissa secutus, moritur antequam vivere didicisset.*

rzaty Fogelderówniej, może córki słynnego lekarza królewskiego (którego postać przy łożu konającego Zygmunta Augusta, mistrzowskim namalowaną pędzlem, można oglądać na ostatnim obrazie Matejki), ryje na jej nagrobku lapidarne zapewnienie, że zmarła „tylko z przed oczu, ale nie z serca usuniętą, mu została.“ Owdzie pod ślicznie dłutem odtworzoną postacią 45-dniowego synaczka Rafała tkliwe rozpisuje żale Jan Ocieski, kanclerz wkrótce potem w. kor., mąż stanu, wsławiony rozumem, wytwornością oglady i wymową, posyłany w najtrudniejszych misjach do Rzymu, Niemiec, Węgier i Carogrodu, tensam, który w imieniu Zygmunta Augusta jeździł na dwór cesarski po nieszczęśliwą królową Katarzynę austriacką. Jan Grot, rajca krakowski, oddany w całej figurze wraz z małym synem swym na sarkofagu, publiczne napisem grobowym czyni wyznanie, że ciężko Boga obrażał, trwając zbyt długo w uporze heretyckim. W innem miejscu Mikołaj z zasłużonego rodu Korycińskich, stawiając pięknej roboty nagrobek zarazem żonie i sobie, osobliwym pomysłem układa go w kształcie portretowych medalionów, pionowo nad sobą zawieszonych na wstędze trzymanej przez aniołka. Naprzeciwko Melchiorowi Michałowskiemu, wychowawcowi wielkiego Jana Zamojskiego, zmarłemu 1625 roku, rzewne i wdzięczne poświęca wspomnienie syn kanclerza i hetmana Tomasz Zamojski, który w dzieciństwie osierociawszy, w przydanym mu za opiekuna Michałowskim, drugiego znalazł ojca. Wreszcie ka-

żdego ciekawość i wyobraźnię tknąć musi piękna płaskorzeźba z popiersiami Stanisława Włodka i jego żony Katarzyny z Koniecpolskich, po której łonie pełząca jaszczurka nasuwa na myśl jakąś tajemniczą tragedję, zdradę, zbrodnię, truciznę.

Oto kilka szczegółów wyrwanych naprędce z mnogiego zastępu pomników, a w poczcie tym pominąłem sielankopisarza Zimorowicza i prawnika Szezerbica i wielu jeszcze. Pomniki te niszczą, rozsypują się; za lat parę z niejednego mało co zostanie. Mało jest miejsc tak uroczej poezji pełnych, równie pouczających i pod względem artystycznym, jak i historycznym ważnych, jak te dziś niestety bardzo zaniedbane i obrazem opuszczenia będące przestrzenie krąganków Dominikańskich, w których każdemu krokowi ciekawego przechodnia echo głosem z dawnych a tak zajmujących odpowiada wieków.

Byłoby na czasie pomyśleć o uratowaniu tych pamiątek od zagłady, sprawa to może pilniejsza aniżeli nawet budowa wspomnionych wież kościelnych.

Ale dość tych narzekań. Nie same smutne dzieją się u nas rzeczy. Są klasztory dbające o swoje skarby artystyczne i pamiątkowe, nie brak zarządców kościołów umiejących uszanować cenną spuściznę przeszłości, co zamiast podług swego widzimisię poprawiać zabytki z całą miłością i roztropnością strzegą ich, ratują, utrzymują. Pociągających pod tym względem szczegółów zamierzamy udzielić w następnym artykule.







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000274712



I 417823